

## Paweł Czapczyk: Łagodność i siła

Zygmunt Kubiak był niezrównanym miłośnikiem świata antycznego, przykładającym klasyczne pojęcia i miary do Polski współczesnej i do życia codziennego



**Zygmunt Kubiak był niezrównanym miłośnikiem świata antycznego, przykładającym klasyczne pojęcia i miary do Polski współczesnej i do życia codziennego**

Zygmunt Kubiak był niezrównanym miłośnikiem świata antycznego, przykładającym klasyczne pojęcia i miary do Polski współczesnej i do życia codziennego. Nawet na bieżącą politykę i zawirowania na giełdzie literackiej patrzył poprzez wersety biblijne oraz frazy Wergiliusza i Horacego. W ten kulturalny, ale zdecydowany sposób odcinał się od

byłe jakich zasad i jarmarku pospolitości. Sztuki awangardowej i literatury (po)nowoczesnej, w których istotę wpisane jest przemijanie, programowo nie znosił. Z pewną wyniosłością odprawiał też głosicieli tzw. postępu społecznego oraz propagatorów końca historii. Twierdził, że „świat w złem leży”, i że spokój duszy nie jest człowiekowi dany, lecz zadany. Jego słynne hasło-zawołanie: „Moja Polska to Polska śródziemnomorska” było więc nie tyle manifestem eskapizmu, ile postulatem wnikania w głębszy wymiar rzeczywistości. Wielkie kwestie intelektualne i dramaty ludzkie z przeszłości traktował jako najbardziej osobiste – nadal rozgrywały się w Jego sercu i umyśle. Powstające w atmosferze intymnej więzi z poprzednikami i wzmożonej duchowej żarliwości przekłady (zwłaszcza *Eneida* Wergiliusza, *Wyznania* św. Augustyna i wiersze Konstantinosa Kawafisa) oraz eseje (m.in. *Półmrok ludzkiego świata*, *Wędrowki po stuleciach*, *Jak w zwierciadle*, *Przestrzeń dzieł wiecznych*, *Kawafis Aleksandryczyk*, *Brewiarz Europejczyka*, *Uśmiech kore*) zjednywały Mu stopniowo kolejne pokolenia czytelników. Jego liczne wieczory autorskie przyciągały do końca rzesze młodych ludzi. Było to dlań krzepiące i stanowiło potwierdzenie obranej w chłopięctwie drogi – symbolicznego momentu, kiedy przepisał sobie gramatykę grecką z pożyczonego kajetu.

Poruszał się po ogromnych obszarach wielu kultur, zaskakiwał odległością skojarzeń i skalą erudycyjnych odniesień. Stworzył też własny, rozpoznawalny styl wypowiedzi – zgodny zarówno z surowymi regułami retorycznymi, jak i po Pascalowsku naturalny, niewymuszony; przywracający rangę i moc polszczyźnie. W Jego najlepszych esejach – jak w największych arcydziełach literatury – panuje stała temperatura: trwa wielogłosowy dyskurs anulujący przepływ stuleci i pokoleń, i na nowo ożywają wartości, które pierwszy raz na światło dnia wyjrzały kiedyś nad Morzem Śródziemnym.

Osobiście poznałem Zygmunta Kubiaka późno, kiedy dobiegał siedemdziesiątki. Po latach względnie chudych, był wtedy na fali wznoszącej: Jego *Mitologia Greków i Rzymian*, pierwsza część trylogii poświęconej w całości światu klasycznemu, który – Jego zdaniem – istnieje zawsze, stawała się właśnie największym humanistycznym bestsellerem wolnej Rzeczypospolitej. Pamiętam, że zaskoczyły mnie wówczas zarówno całkowita bezinteresowność i osobista skromność Pana Zygmunta, jak i niebywale skromne warunki, w jakich wraz z żoną, Panią Hanną, egzystował. Niewielkie mieszkanie w bloku na obrzeżach Saskiej Kępy, inaczej niż w przypadku wielu koncesjonowanych twórców PRL-owskich, wyglądało tak, jakby przez dziesięciolecia wszelkie remonty nie znajdowały do niego dostępu. Pan Zygmunt posadził mnie zrazu w foteliku pod ścianą, ustawionym równoległe do własnego biurka (odtąd zawsze tam siadałem), a potem, czujnie się przypatrując, wygłosił długi, a nawet bardzo długi, monolog o bestialstwie systemu totalitarnego i o zbrodniach UB. Pracował wtedy po szesnaście godzin na dobę, „zamurowany w pracy dla czytelników”. Dla gościa nie skąpił jednak czasu. Nasze rozmowy, którym nierzadko przysłuchiwała się Pani Hanna, miały z reguły podobny przebieg: zaczynały się zwykle w gabinecie Pisarza, by przenieść się potem do kawiarni i restauracji na Nowym Świecie. Autor koncepcji „przestrzeni dzieł wiecznych” objawiał się wtedy jako amator włoskiej pizzy i spacerów po Starym Mieście. Miał w sobie coś z bezpośredniości starożytnego Ateńczyka i nieraz zagadywał przechodniów, antykwariuszy, kioskarzy czy taksówkarzy. Uwielbiał Warszawę, zwłaszcza Trakt Królewski i jego najbliższe okolice, owo zgęstnienie, jak mówił, realnej materii życia.

Rozmowy z Nim dotyczyły zwykle spraw najważniejszych i toczono je w wysokich rejestrach. Natychmiast gasł, gdy pojawiał się temat błaży. A kiedy na chwilę mnie opuszczał, dostawałem do ręki nieodmiennie książkę („bym nie marnował czasu”). Bywał kontrowersyjny w sądach, ale samą swoją uczciwością podnosił przyzwyczajeniowe reakcje rozmówcy o szczebel wyżej. Jego delikatność serca objawiała się w faktach najdrobniejszych: kiedy wspomniałem Mu o głośnej swego czasu, a nieudanej próbie rozdzielenia sióstr syjamskich z Iranu, odwrócił się i wytarł oczy. Za nic miał polityczną poprawność – nigdy nie siadał w towarzystwie stojącej kobiety, o czym notabene miała przekonać się moja żona, mój Boże, osoba o czterdzieści sześć lat młodsza od Profesora.

Z jakimż wzruszeniem przechowuję teraz w pamięci chwile z Nim spędzone. Oto scena z czerwca 1999 roku, od której wszystko się zaczęło: onieśmielony ponad miarę, po raz pierwszy stoję pod drzwiami skromnego mieszkania przy ulicy Zwycięzców w Warszawie. Drzwi otwiera mi sam Autor i zaraz zaprasza do środka. A to już rok 2003: Pan Zygmunt – naprawdę z wysiłkiem chwytając powietrze – spieszy ze mną na Dworzec Centralny, by kupić bilet na uciekający mi pociąg do Poznania. Widzę jeszcze, jak stoi na peronie i wyciąga rękę w geście pożegnania. Jego twarz rozświecła uśmiech. Łagodność w tej twarzy i siła.

*Paweł Czapczyk*